



## Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska

część III z V

Sygnatura notacji: **N0077**

Data urodzenia: **8.08.1936 r.**

Data nagrania: **12-13.09.2007 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Antoni Lech Kujawski**

Czas nagrania: **część I: 77 min, część II: 60 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video**                      **część IV: 9 min, część V: 37 min**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Więc do „Kontaktów” zaczęłam się przymierzać właściwie zaraz po wyjściu z internowania, ale nie było to takie proste, bo trzeba było najpierw stworzyć bazę, taką czysto materialną. Najtrudniej w tym czasie było zdobyć papier. Papier był reglamentowany i ja pamiętam, że moja zaprzyjaźniona ze mną sekretarka szkoły, w której pracowałam, z każdej ryzy podkradała 30–40 kartek, żeby się dyrektor nie zorientował i taki stosik mi zawsze odkładała. Ale to oczywiście kropla w morzu, bo myśmy potrzebowali co miesiąc pięć ryz. Pięć ryz, to nie było tak dużo, ale jednak trzeba było je zdobyć. O kupieniu nie było mowy. Emulsje do wywoływania zdjęć, bo to się najpierw robi na kliszy fotograficznej tekst, sprowadzało się z Zachodu i to już przez bardzo takie zaangażowane, i bardzo tajne kontakty. Myślę, że nawet chyba przez samego Bogdana to się załatwiało, Borusewicza, on miał te kontakty takie z Zachodem i byle kto tego nie mógł przecież przemycić, tylko ktoś bardzo zakonspirowany. Na początku próbowaliśmy najłatwiejszą techniką, techniką białkową. Ja nie mam pojęcia, jak to się robi, ale moi uczniowie wiedzieli. Oni mi pomagali. Pierwsze numery robili moi uczniowie. Nie tylko ci, którzy chodzili, ale też starsi uczniowie, z którymi utrzymywałam kontakt. Otóż pamiętam właśnie z tym pierwszym numerem była taka właśnie śmieszna, trochę nawet smutna historia. Myśmy go trzy razy drukowali i za każdym razem nie wychodziło. Pierwszy raz po prostu nie dali sobie rady chłopcy technicznie, bo to trzeba się tego nauczyć. Za drugim razem przyszli zachwyceni. Powiedzieli: „Ciociu, świetnie wyszło. Tak piękny druk”. Ale ja im nie powiedziałam rzeczy takiej, bo myślałam, że oni to wiedzą, że papier kredowy, a właśnie dostałam papier kredowy, trzeba najpierw wysuszyć. Druk dość długo schnie, bo papier kredowy nie wchłania wilgoci i to trzeba najpierw pod suszarką wysuszyć albo nawet powiesić na sznurku, żeby to wyschło, zanim się nałoży na to następną kartkę. Oni byli niecierpliwi. Szybciutko wydrukowali wszystko, położyli jedną kartkę na drugą i przynieśli mi to. Jak przynieśli, to się rozpląkałam, bo to była taka zbita cegła, której się absolutnie nie dało

rozerwać, wszystko się skleiło z sobą i każda kartka była zadrukowana dwukrotnie, bo lewą i prawą stronę miała odbić. I to... To była ta pierwsza poważna porażka taka, którą... Żał mi było chłopców przede wszystkim, bo oni byli przekonani, że zrobili kawał dobrej roboty. Potem już szło lepiej. I te pierwsze numery były słabo czytelne, ale to nie odbijały stanem technicznym in minus od innych druków bo tak wtedy wydawaliśmy. Taka była nasza technika, takie były nasze możliwości. Później udało mi się wejść w kontakt z drukarzami „Naszego Czasu”. W redakcji jednym z nich był mój mąż i oni się wreszcie zdekonspirowali, bo to była konspiracja również przede mną. Mój mąż nie chciał mnie w to wciągać, ponieważ straszliwie się bał o to, że mnie aresztują. Wprost chorobliwie, tak że do tego stopnia, że ja często udawałam, że nie robię, znaczy po prostu nie mówiłam mu, że idę drukować, a na drukowanie szło się na cały dzień. Tak że wtedy, kiedy miałam wolny dzień od pracy, a to w wieczorówce pracowałam, więc miałam, to od rana szło się i tam się już ręce po łokcie ubabrało w farbie i tak gdzieś koło 11:00 się kończyło. Pamiętam, kiedyś wlokłam z sobą, to była zima i ja tak wlokłam z sobą taką ciężką torbę. No, pięć ryz papieru i jeszcze do tego trochę wilgotnego, to nie jest mały ciężar. Była zima i ślisko, i ja tak szłam, trochę się potykałam, trochę się ślizgałam na tym lodzie, ale już bardzo chciałam to donieść do domu. Na wierzchu zawsze jakiś ręcznik leżał, coś tam się kładło, jakieś ziemniaki czy inne jarzyny, żeby zrobić taki kamuflaż. I taki jakiś dobrze wychowany milicjant mnie po drodze spotkał, bo stoimy na przystanku tramwajowym, noc, więc bardzo rzadko jeżdżą i stoimy tylko we dwoje. I ja zaczęłam do tego tramwaju wchodzić bardzo niezręcznie, jakoś tak nie mogłam tej torby unieść. On mi pomógł, po prostu tę torbę wniósł, położyć, mówi: „Co pani ma tam takiego ciężkiego?”. Ja sobie myślę: „Synu, żebyś wiedział, to ja już bym szła pod karabinem tam do pierwszego komisariatu”. Mówię: „Wie pan, udało mi się kupić serwis obiadowy dla córki. Porcelana”. „Ach, porcelana. To muszę bardzo uważać”. I rzeczywiście uważał. Jak ja wysiadałam, to mi też pomógł. Tak że rozmaicie bywało w tym czasie. Ale wracam do rzeczy poważniejszych, mianowicie do tego, co tam robiliśmy w tym naszym wydawnictwie, więc już mówiłam, że na początku był entuzjazm, ale potem on wygasł szybko i zostałam sama ze swoimi projektami, i ze swoją pracą, ale ponieważ jestem człowiekiem upartym i miałam ten dług do spłacenia, uważałam, że za krzywdę moich dzieci, to ja zapłacić im muszę, tak jak umiem, a najlepiej umiem robić to właśnie. Słowem walczyć. W szkole i poza szkołą wydawałam to pismo. No, nie wiem, co jeszcze.

**Antoni Kujawski:** Może o tych innych wydawnictwach, bo byli młodzi ludzie piszący wiersze. Jak pani to środowisko młodych, początkujących pisarzy w tym kontekście widziała? Jakie pani miała z nimi kontakty? Czy dałoby się ich jakoś scharakteryzować, ich twórczość, ich samych może?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Ja bardzo żałuję, że nie mogę odnaleźć tego tomiku wierszy, ale ja go odnajdę, bo on gdzieś na pewno jest, tylko za późno sobie przypomniałam. Otóż tak, wie pan, jest to okres, kiedy w ogóle ludzie chwytają za pióro, bo emocje są tak silne, że muszą je w jakiś sposób wypowiedzieć i dlatego ta poezja i twórczość pisana na gorąco, przeważnie jest niedobra. Bardzo rzadko jest dobra. Przeważnie nie. Ale akurat ci ludzie, z którymi ja się zetknęłam, pisali dobrą poezję w moim przekonaniu. Jedną z autorek, bo to było troje autorów, którzy jakoś tak współpracowali ze mną, była Ania Hertz. Ona pod takim pseudonimem wydawała. Nazywała się Jola Kmieć. Jest obecnie dość znaną poetką w Trójmieście. Wydała już kilka tomików swojej poezji. To jest bardzo dobra poezja. Wtedy to był po prostu wyraz buntu. Piotrek Szafarz, młody, bardzo taki ideowy człowiek, zbuntowany, który zresztą teraz tutaj w tej rzeczywistości nie znalazł dla siebie miejsca, jakoś bardzo trudno przebija się przez życie, pracuje w Gazecie Wyborczej jako... Coś z ekonomią ma wspólnego. Znaczy coś tam w prawach rachunkowości.

Nie pisze, Boże broń, tylko właśnie jakieś rachunki uprawia dla Gazety, miejscowego, tutaj gdańskiego wydania, ale wtedy wypowiadał się w tym, co najbardziej go bolało, co... To są wiersze takie troszeczkę może, może troszeczkę pod wpływem Herberta, na pewno jest tam duży wpływ Herberta, ale wybrałam to, co mi się wydało prawdziwą poezją. Nie jakimś takim chłamek poetyckim, byle się rymowało. Bo często coś takiego właśnie się też pojawiało i to ludzie czytali, bo potrzebowali jakoś odnaleźć wspólny język ze sobą i czasem właśnie przez poezję się tak odnajduje to. A trzecim autorem był Grześ Berecki, działacz, młody działacz Ruchu Młodej Polski. Nie, nie Ruchu Młodej Polski, przepraszam bardzo, Ruchu Młodzieżowego, tego właśnie szkolnego. On był jeszcze uczniem wtedy, tak że... Ostatniej klasy chyba. Tak że myślę, że właśnie te wszystkie sprawy szkolne, które w jakiś sposób koncentrowały się u nas, w naszej komisji zakładowej, oni tam mieli swoje miejsce, gdzie drukowali, przychodzili do nas często po pomoc materialną albo prawną. W ten sposób ich poznałam.

**Antoni Kujawski:** Jeden z wierszy Piotra Szafarza jest na murze przy stoczni.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Nie, nie wiedziałam.

**Antoni Kujawski:** Tak. On go drukował później chyba w „Gwieździe Morza” prawdopodobnie lub z innego druku. Stoczniowcy sami wybrali ten tekst i tam umieścili.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Ja wiem, że tam są jakieś teksty, ale nigdy...

**Antoni Kujawski:** Tak, właśnie jego, Piotra Szafarza.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** nigdy nie miałam tyle jakoś determinacji, żeby stanąć i poczytać. Bardzo jestem dumna z tego i bardzo się cieszę.

**Antoni Kujawski:** I później on pisywał w „Przeglądzie Oświatowym” też troszeczkę.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak, może tak. Wiem, że on koniecznie chciał napisać coś o mnie. I wiele razy żeśmy się spotykali, on tam pytał, dobierał, ale coś mu to bardzo nie szło. Wie pan, napisać coś o swojej nauczycielce, to nie jest łatwo. Ja mu w końcu powiedziałam: „Piotrek, daj sobie spokój. Schowaj te materiały. To może ci się przydać na nekrolog”. I Piotr chyba poważnie myśli o tym, mam nadzieję, nekrologu, bo już się więcej do mnie nie zgłosił na rozmowę. Ale jak się widzimy, to się bardzo serdecznie witamy. Ja nadal żyję, on nadal pracuje.

**Antoni Kujawski:** Czy poza młodzieżą dwójki też jakieś miałyby pani spojrzenie na w ogóle to, co wśród młodzieży się działo? Bo i w trzecim liceum się...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak.

**Antoni Kujawski:** wiele działało. Czy coś na ten temat mogłaby pani dodać?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Wie pan, z wyjątkiem kilku komunałów, to nic, bo co tam dodać. Ja uczestniczyłam w tych ich spotkaniach, one się niczym nie różniły właściwie od dorosłych. Młodzież zawsze powiela takie stereotypy. No, wiem, że był to wielki entuzjazm. Z całą pewnością mnóstwo materiału takiego ludzkiego, nieładnie powiem, ale się właściwie w tym momencie objawiło, takich młodych działaczy, takich właśnie ludzi z entuzjazmem, zapaleńców. Ja się nawet trochę bałam o nich, wie pan, bo myślałam sobie, że jeżeli oni tacy zostaną, to będą fanatykami. To zmarnują sobie życie, bo to było takie bardzo entuzjastyczne i głębokie zaangażowanie. Oni chcieli naprawdę coś zrobić, robili tam, nie bali się, żadnych hamulców nie mieli takich jak my dorośli, którzy mamy do stracenia, na przykład rodzinę, dzieci i boimy się, żeby im się krzywda nie stała. To każdy taką refleksję ma, kiedy zaczyna robić coś niebezpiecznego. Natomiast oni nie, nie mieli nic takiego. Szli jak w masło we wszystko. A potem się okazało, że wielu z nich dało sobie radę z tym entuzjazmem, o którym mówię właśnie i potrafiło znaleźć, odnaleźć się w nowej rzeczywistości, a oni ją zaakceptowali, jakoś tam się przebijają przez to, jedni zostali radnymi, inni ministrami, inni jeszcze posłami. To tam bardzo różnie się ich losy potoczyły, ale wielu z nich rozsądnie poszło w prywatność. Gdzieś tam jakieś firmy sobie pozakładali i żyją dzisiaj ze swoimi żonami, i dziećmi, wygodnie dosyć w miarę.

**Antoni Kujawski:** Chciałem zapytać także o... Skoro mówimy o środowisku, o ludziach, z którymi pani się stykała, czy zechciałaby pani może w kilku zdaniach scharakteryzować takie znane postacie, z którymi miała pani okazję się zetknąć, jak państwo Gwiazdowie, jak Wałęsa, Borusewicz.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Wie pan, scharakteryzować Wałęsę to bardzo trudne zadanie. Ja go po prostu lubię bardzo i wiele mu daruję, wiele mu wybaczam, tak że nie miałabym... Powiem panu szczerze. Ja nie miałabym najmniejszej pretensji o to, gdyby się okazało, że Wałęsa podpisał jakąś lojalkę czy coś w tym rodzaju, bo ja pamiętam bardzo dobrze ten moment, kiedy on po prostu przymierał głodem ze swoją rodziną, kiedy on nie miał pracy i pamiętam, że wtedy właśnie dostawałam te materiały rozmaite bezdebitowe i przyszedł do mnie Bogdan, i powiedział: „Słuchaj, ja tutaj do tego pisma dołączyłem taką kopertę. My tu składamy. Ile kto może, niech włoży do tej koperty”. Tu jest taki jeden człowiek, który ma sześcioro dzieci i nie pracuje. Wigilia się zbliża, trzeba mu coś kupić, chociażby jakieś masło do chleba, wiesz, żeby oni coś mieli”. I pamiętam, że wtedy też taką zbiórkę urządziłam. Jeszcze nie znałam tego człowieka, ale dziś wiem, że to o nim mowa właśnie. Wie pan, człowiek, który w tak trudnej sytuacji nie wycofał się do końca, to co mi tam, że on coś podpisał, jeżeli... To jest normalna troska o swoją rodzinę. Przecież normalnie on miał obowiązek też dbać o rodzinę. To nie był człowiek, który mógł sobie pozwolić na wszystko, prawda? On musiał być odpowiedzialnym ojcem i mężem również. I to jest też obowiązek mężczyzny. Tak że nie dam sobie powiedzieć na Lecha złego słowa, mimo że kiedy był prezydentem, to bardzo cierpiałam. Ale teraz już mnie nie drażni. Natomiast jestem fanem jego syna, Jarka, tego posła. Uważam, że to jest znakomity poseł. Znakomity. Takich właśnie posłów potrzebujemy. Ideowych, oddanych, inteligentnych, obytych w świecie, znających języki. To jest właściwy człowiek na właściwym miejscu. O Gwiazdach mam mówić?

**Antoni Kujawski:** Bardzo proszę, tak. Bo chodzi o to, że pani miała kontakt z wieloma osobami, w takich sytuacjach,

że tak powiem, roboczych...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak.

**Antoni Kujawski:** i można o tych sytuacjach coś powiedzieć, i o nich również.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Ja panu powiem. Ja ich bardzo lubię. Bardzo lubię Andrzeja zwłaszcza. Andrzej jest takim człowiekiem otwartym, brat łąta, ale też się jakoś tak dał wciągnąć w taki kanał. Dla mnie to jest zupełnie niezrozumiałe, ta ich walka z Wałęsą jest dla mnie może psychologicznie wy tłumaczalna, ale z punktu widzenia zdrowego rozsądku zupełnie niezrozumiała. Dlaczego oni się tak zaparli, żeby udowodnić, że Lechu coś tam podpisał i miał jakąś tam ciemną kartę, i współpracował z SB, bo oni ciągle to powtarzają. Kiedyś go zapytałam: „Słuchaj, właściwie dlaczego to robicie?” On powiedział, że prawda jest konieczna, potrzebna i to jest właśnie dla historii niezbędne. Ja uważam, że wprost przeciwnie. Wcale nie jest nam taka prawda potrzebna. My potrzebujemy autorytetów moralnych. Oni są nam potrzebni. Zniszczyć wszystkie autorytety, wie pan, to jest tak jak żyć bez powietrza. Naród nie może. Natomiast jeśli chodzi o Joannę, to ona jest zupełnie inna. Ona jest kategoryczna bardzo, trochę może apodyktyczna i właśnie taka nieufna. Ona wszędzie wietrzy podstęp. Może to się właśnie Andrzejowi trochę udzieliło, nie wiem. Myślę, że u Andrzeja to jest jeszcze to, że on się poczuł pokonany, że on się poczuł odsunięty trochę na bok i z tego tytułu, że nie doceniono jego zasług, autentycznych zasług w czasie strajku, jego roli, którą tam odegrał, bardzo ważnej, że on się czuje pokrzywdzony. Ale to nie powinno się tak objawiać. I tu w tej sprawie zawsze jestem po jego stronie, ale w tej sprawie nie. W sprawie tego konfliktu z Wałęsą nie. Uważam, że to jest zupełnie niepotrzebne. Chociaż Andrzej ma swoich zwolenników i takich, którzy też właśnie tam są zacierzewieni w tej sprawie. Byłam na takim spotkaniu. Andrzej... Gwiazdowie i Ania Walentynowicz urządzali takie alternatywne obchody 25-lecia Solidarności. I na jednym z takich wykładów nieszczęśliwie trafiłam akurat na wykład tego głównego, że tak powiem, przeciwnika Wałęsy, Krzysia Wyszowskiego. I... I to było zupełnie bez sensu, bo niby dziennikarz, niby człowiek rozsądny a to, co mówił, było zupełnie nieprzekonujące, wie pan. To były takie jakieś frazesy, że przyszedł młody człowiek i zaczął prowokować nas, mówić, że tu trzeba bomby, że... No, pewnie, że tak. Znając temperament Wałęsy, to się wcale nie dziwię, że on właśnie potrzebował jakiegoś działania takiego, które im się wtedy wydawało zupełnie wręcz prowokacją. Natomiast żadnych dowodów przekonywujących on nie miał. On miał tylko spostrzeżenia. I ja to powiedziałam, że: „Słuchaj, mnie to nie przekonuje”. Znaczący powiedziałam to Andrzejowi Gwieździe. To było zupełnie... Szkoda w ogóle czasu na takie gadanie. Mimo to tam było pełno ludzi. To była pełna sala, ta sala NOT-u duża, pełnusiętka. Mnóstwo ludzi tam siedziało i oni chłonęli tę wiedzę. Może dlatego, że to sensacyjna wiedza i ludzie lubią takie sensacje chłonąć, wchłaniać w siebie, a może dlatego, że ludzie w ogóle lubią się opluwać, nie wiem dlaczego.

**Antoni Kujawski:** A inne postacie, Borusewicz, o którym pani wspominała parę razy.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Borusewicz, proszę pana, to jest dla nas wzorzec z Sevres. My uważamy, że to jest jedyny człowiek, co do którego nie mamy zastrzeżeń żadnych, który jest krystalicznie uczciwy i przyzwoity przede wszystkim. No, człowiek, który nie ma żadnych na koncie, żadnych takich ciemnych spraw, chociaż też usiłują

ostatnio go tam zrobić w jakąś współpracę z SB. Młody, odważny, ja go pamiętam z czasów jeszcze kiedy on był ślicznym chłopcem. Takim właśnie młodym człowiekiem, który kocim krokiem się poruszał po świecie. Bardzo wysportowany, bardzo przystojny, bardzo pełen wdzięku człowiek i od początku, od pierwszej chwili byłam zafascynowana jego osobowością, a nadal szalenie go cenię i stanowią jego żelazny elektorat. Zawsze będę na niego głosowała.

**Antoni Kujawski:** A ze środowiska nauczycielskiego, Rybicki, jak Kuropatwińska. Takie postacie, czy coś o nich...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Lewtak.

**Antoni Kujawski:** Lewtak, właśnie. To może o Lewtaku. Bo to jest człowiek niezjący i jego postać możemy poznać poprzez właśnie...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Relacje.

**Antoni Kujawski:** ...relacje osób innych.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Wie pan, Romek Lewtak to był człowiek, który... Ja pamiętam, pierwsze z nim spotkanie było w tym, w budynku technikum elektryczno-mechanicznego, zdaje się czy technikum, już nie pamiętam tam. Taki minister przyjechał, minister oświaty i tam właśnie wtedy to był początek września. Były delegacje z różnych szkół, bo tam wszyscy się spotykali z tym ministrem i właśnie ten początek, w którym nauczyciele byli zupełnie zdezorientowani, zwłaszcza ci nauczyciele z powiatu, że mieli mniejszy kontakt jakby z polityką ale też już wchłonęli w siebie tę atmosferę sierpnia i byli pełni entuzjazmu, ale zdezorientowani, to co pytali: „Panie ministrze, robimy tę Solidarność, czy nie?”. A minister się, Kruszyński wtedy był ministrem, czuł się bardzo nieswojo w tej atmosferze i pamiętam, mnóstwo ludzi wychodziło tak spontanicznie, żeby przemówić. Jedni byli za, drudzy niekoniecznie, ale taka wiecowa atmosfera się wytworzyła i ja tak szczerze mówiąc, to mnie tak trochę nudziło, dlatego że, wie pan, ja już się nasłuchiwałam takich sloganów, to już nie są konstruktywne wystąpienia. I nagle na koniec, jakoś tak pod koniec tego, wyszedł starszy pan, przygarbiony troszkę, kulejący, utykający lekko, stanął w okularkach, stanął sobie na podium i zaczął mówić. Ja go zaczęłam słuchać i wszyscy zaczęliśmy go słuchać, wie pan. On mówił dlaczego trzeba założyć związki zawodowe, właśnie po co jest nam potrzebna ta Solidarność. I on to tak pięknie i mądrze wywiódł, jak tylko potrafi to zrobić dobry, doświadczony nauczyciel. Nie gładził, nie mówił długo, nie męczył. Po prostu wyjaśnił punkt po punkcie, że potrzebny nam jest związek zawodowy z prawdziwego zdarzenia, który będzie miał siłę, odwagę, mądrość, aby spełnić nasze oczekiwania zawodowe. I tam nie było jakiejś wielkiej polityki. Tam był po prostu rozsądny głos. I taki właśnie był Romek. Romek był głosem rozsądku, środka. On nigdy nie zacierzował się. Był człowiekiem przewidującym, wiedział, co należy, jaki następny krok będzie zrobiony. On to przewidywał. I nie dawał się nigdy ponieść. Znaczący może raz się dał. To było jakieś takie nieszczęśliwe wystąpienie, taka nagonka na dwie nasze koleżanki. Wtedy właśnie w tych emocjach powstawały również i konflikty. One zostały jakoś tam przeniesione do nas, do naszego komitetu, do naszej rady zakładowej raczej.

**Antoni Kujawski:** Mogły być prowokowane również.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Na pewno były. Teraz jak się dowiadujemy, to co trzeci członek Solidarności był esbekiem, więc oczywiście, że były prowokowane, tylko myśmy się dawali ponieść tym prowokacjom. Po prostu były znakomicie robione, tak że ludzie się dawali tak temu...

**Antoni Kujawski:** A w innych okolicznościach pana Lewtaka może pani pamiętać?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** On był bardzo nieszczęśliwy w tym wszystkim, ponieważ on był mocno zaangażowany i zdawał sobie sprawę, że on potrafi zrobić więcej niż inni, że mądrzej będzie, jeśli on będzie na czele tego stał. On znał swoją wartość po prostu. I rzeczywiście był człowiekiem opatrnościowym na ten okres. Ale jego żona strasznie była przeciwna temu. Nie żeby z powodów ideowych, tylko ona po prostu chciała go mieć w domu i ona przeszła chyba przez szlak jakiś syberyjski, wschodni w każdym razie, tam już doznała tego losu ludzi prześladowanych przez naszych wschodnich sojuszników i bała się po prostu, zwyczajnie się bała. Oni przecież mieli trzech synów, więc też jakaś odpowiedzialność za rodzinę była. To byli chłopcy, którzy jeszcze potrzebowali opieki, studiowali, tak jakoś jeden był całkiem młody, jeszcze uczniem był. I ona ciągle go trzymała w cuglach, żeby on właśnie nie angażował się tak mocno, tak że on się jej trochę bał. Żył pod taką presją pomiędzy domem a działalnością społeczną.

**Antoni Kujawski:** Może to sprawiło, że był taki wyważony.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Może to sprawiło. W każdym razie faktem jest, że on nie zrezygnował z działalności, mimo to, że baba mu tam mocno przecierała rogów i do końca był zainteresowany naszą pracą. To już bardzo ciężko chory, pamiętam, odwiedziliśmy go w szpitalu. On jeszcze odbył konferencję z Bronkiem Szarzyńskim. Bronek też był bardzo dobrym przywódcą takim związkowym, doskonałym organizatorem, ale był bardziej chaotyczny, bardziej taki zapalający się do różnych spraw. On właśnie entuzjastycznie bardzo podchodził. Ale to był...

**Antoni Kujawski:** Pewnie żona go nie mitygowała.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Nie, żonę miał wspaniałą. Poznałam ją. To była wspaniała kobieta. Ale wie pan, on... Nie, to był jego temperament. On od początku swojego życia miał taki temperament. Przecież on nie miał jeszcze 18 lat, kiedy wstąpił do WiN-u, a to już było po końcu wojny. I oczywiście wie pan, tam go wyłapali. On się błąkał, kilka miesięcy się ukrywał w stogach siana, bo wtedy wejść do mieszkania, do domu i powiedzieć: „SB mnie tropi, proszę mnie przechować”, to było nie do pomyślenia. To byłoby w ogóle niewykonalne. I on się bał tak samo ludzi cywilnych, swoich sąsiadów, chłopów, z którymi tam mieszkał, gdzieś rolników, jak policji. Więc straszliwa była ta jego... On się śmiał jak ja mówiłam: „Bronku, ty się ukrywasz”. A on mówi: „Co to za ukrywanie, słuchaj, to nie jest ukrywanie, jak ja chodzę w czystej koszuli, wiesz, i jestem nakarmiony, i spotykam się z wami tutaj”. On się ukrywał, kiedy miał 18 lat, wie pan kiedy on musiał się ukrywać w stogach, kiedy on się bał psów, które go mogą wytropić, jadł surowe buraki z pola, bo przecież tygodniami się tym odżywiał, co tam na polu znalazł. Ale zawsze był gotów do walki. To był Bronek, on taki właśnie był. Za to go tak lubiliśmy wszyscy i ceniliśmy. Już więcej grzechów nie pamiętam. Ja już nie wiem, co jeszcze.



**Antoni Kujawski:** A może... Pani uczestniczyła, zdaje się, także w strajku nauczycieli.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak, tak.

**Antoni Kujawski:** Gdyby pani mogła o tym zdarzeniu opowiedzieć.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak dawno to było. Nie wiem, wie pan.

**Antoni Kujawski:** Bo jest pani na zdjęciu także.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** I nie mam tego zdjęcia. W ogóle mam kilka zdjęć ze strajku, ale na żadnym mnie nie ma. Ja nie wiem, może dlatego, że ja jestem za mała i się ciągle gdzieś za kimś chowam, ale w każdym razie...

**Antoni Kujawski:** Chyba ono było publikowane w „Przeglądzie Oświatowym”, takie zdjęcie.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Aha, tak. Bezczelny „Przegląd Oświatowy”. Ja im to zdjęcie pożyczyłam, powiedziałam, że proszę o zwrot, bo to było jedyne zdjęcie, gdzie tam siedzimy razem przy stole i tam... Tak, oczywiście. I niestety nie zwrócili. To przepraszam za słowo „bezczelny”. Miałam instytucję na myśli. Od września chyba zaczęli rozmowy z ministerstwem na temat właśnie naszych postulatów związkowych. Pamiętam te postulaty, się robiło na gorąco, w ten sposób, że albo ludzie do nas dzwonili, co oni by tam chcieli albo myśmy dzwonili do nich, na przykład do takich instytucji jak domy dziecka, różne tam takie. Mniejsze placówki, które już nie na setki wychowanków liczyły, nie setkami, tylko na przykład na dziesiątki, to już tam do nich się niewiele osób zwracało i myśmy starali się całe środowisko, wysłuchać opinii całego środowiska. I to powstała ogromna lista tego. Tam było ponad 170 postulatów, więc ogromne były potrzeby, okazuje się. Wtedy się właśnie okazało, jak bardzo oświata była zaniedbana, jak bardzo potrzebowała wsparcia, kiedy wszystkie właściwie środowiska, i przedszkola, i szkoły, i internaty, i obsługa, i tam właśnie ci ludzie z administracji mieli jakieś swoje potrzeby, które zgłaszali do nas. Myśmy to wszystko spisali, a pierwsze cztery to były już nasze, że trzeba podwoić dochód narodowy. Znaczą podwoić tę...

**Antoni Kujawski:** Nakład.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** nakład dochodu narodowego, który dotychczas był, na potrzeby oświaty. To wychodziło coś 6%, bo tam niby teoretycznie 3% z haczykiem państwo przeznaczało dochodu na oświatę, ale to było znacznie niewystarczające i... Zresztą później się okazało, że te 6% to też jakoś mało. Potem mieliśmy jeszcze zabezpieczyć pracę nauczyciela w ten sposób, żeby ograniczyć etat do 18 godzin, bo rzeczywiście nauczyciel był 24 godziny plus wychowawstwo, które też narzuca wiele obowiązków, plus zeszyty, plus przygotowania, to wcale nieprawda, że nauczyciel pracuje 18 godzin. To wszyscy wiemy, którzy pracowaliśmy kiedykolwiek w szkole. A ostatnio właśnie wyczytałam taki jakiś głos w gazecie, że właśnie każdy by chciał mieć tak jak nauczyciel. Jego godzina trwa 45 minut i on pracuje tylko 18 godzin, i ma najdłuższe wakacje, i to wszystko jest prawda. Ale to jest tak jak



mówił ksiądz Tischner, że istnieją trzy prawdy. Jest sama prawda, święta prawda i gówno prawda. I to jest właśnie ta trzecia prawda. Otóż... Myśmy właśnie zadbali o to, żeby ten etat zmniejszyć, żeby to było te 18 godzin. Tyle, ile nauczyciel jest w stanie dobrze pracować, bo tu chodzi o to, żeby po prostu dobrze pracować, żeby móc się przygotować, żeby nie przyjść zdenerwowanym, zmęczonym, wściekłym do szkoły i czekać tylko na wyjście, tylko żeby można było rozwinąć swój talent w relacjach z uczniami, bo przecież nauczyciel to jest zawód, który wymaga talentu. Nie tylko umiejętności, znaczy powiedzmy wiedzy. Sama wiedza to jest nic. Umieć przekazać wiedzę, umieć zapalić człowieka, ucznia do tego, co się mówi. Jakoś natchnąć go tym, tą swoją iskrą bożą, to jest właśnie prawdziwa praca nauczyciela. Tak ją rozumiem. Czy mi się to udawało? Nie wiem, ale częściowo chyba tak, mam nadzieję. Otóż trzecim postulatem... Znaczący może ją nie po kolei, ale w każdym razie te najważniejsze chcę przypomnieć. Było odkłamanie historii. To, żeby uczeń mógł poznawać prawdę o swojej historii, historii swojego narodu i o literaturze swojego kraju w pełnym zakresie. Nie tak jak dotychczas, że tak jak siekierą odrąbano od nas emigrację, całą literaturę, wielką literaturę emigracyjną po prostu odrąbano. Koniec, nie wolno o niej mówić, nie wolno o niej słyszeć. Dopiero trochę się zrobiło zamieszania, jak Miłosz dostał nagrodę Nobla, bo coś z tym trzeba było zrobić. Ja się strasznie wtedy śmiałam, bo mnie koledzy pytali: „Kto to jest ten Miłosz?”, ja mówię: „Spytaj moich uczniów, oni wiedzą”. Bo ja im mówiłam o Miłoszu. Tak że... I wreszcie był ten postulat, też jakiś taki bardzo ważny, ale ja już nie wiem... O tym odkłamaniu historii. I to były chyba te najważniejsze takie, o które żeśmy walczyli. Z tym że najtrudniej było przewalczyć ten postulat podwojenia dochodu narodowego. Ten uznano za najbardziej polityczny wtedy właśnie. Myśmy rozmawiali z wieloma osobami z ministerstwa, bo to oni się zmieniali. Tam przychodzili, przyjeżdżali do nas dyrektorzy departamentu, a że minister też się w międzyczasie zmienił. Przyjeżdżał wiceminister i te rozmowy zupełnie się nie posuwały. Do pewnego momentu, bo tamte mniejsze postulaty można było załatwić, a te cztery pierwsze wciąż były niezafatwione. I myśmy w końcu któregoś dnia postanowili, to był zresztą pomysł Justyny Rogińskiej. Młoda dziewczyna, która też taka trochę szalona, powiedziała: „Słuchajcie, jak teraz tym razem już nic z tego nie wyjdzie, to po prostu ogłosimy strajk”. „No, dobrze, ogłosimy”. I przyjechał minister, i powiedział radośnie, że: „Ja mam dla państwa teraz rzeczywiście wspaniałą wiadomość, ponieważ właśnie przemyśleliśmy niektóre wasze potrzeby” i tu właśnie zaczął nam opowiadać, co on nam może obiecać z wyjątkiem czterech pierwszych postulatów. Wtedy myśmy powiedzieli, że: „Panie ministrze, to życzymy panu smacznego. Proszę iść na obiad, bo my tu zostajemy. W tej sali, gdzie odbywały się obrady, tu zostajemy w urzędzie wojewódzkim”. Więc powstała panika w całym urzędzie wojewódzkim. A w tym czasie jeszcze właśnie, żeby było śmieszniej, obradowały dwie inne grupy zawodowe, aktorzy i służba zdrowia. Tam wszystkie te grupy, które były finansowane z budżetu i słabo oceniane bardzo, w związku z tym ich potrzeby były właśnie takie naglące. I wtedy właśnie, cóż, pan wojewoda wpadł w panikę. Pierwszego dnia to był entuzjazm i wszyscy ci pracownicy to nam tam przynosili herbatkę, „Jak się państwo czują? Co państwu trzeba?”. Drugiego dnia już prosili, żebyśmy nie wchodzili do pokoi, żebyśmy... Telefon został odłączony, żebyśmy nie korzystali z telefonu. I taka pełna izolacja. Nie wolno było im z nami nawiązywać żadnych kontaktów. Oni się... No, urzędnicy jak urzędnicy oczywiście. Tak że dla nas pozostał pokój i łazienka. To wszystko, z czego mogliśmy korzystać. Ale wieść gruchnęła dość szybko, bo akurat w tym czasie miał być zjazd delegatów, takich wydelegowanych przez regiony. Zjazd wszystkich regionów. I rzeczywiście mnóstwo nauczycieli przyjechało. Oni się tego samego dnia jeszcze dowiedzieli o strajku i zdecydowali na fali takiego entuzjazmu, że oni przyjdą strajkować z nami. To było kilkadziesiąt osób. Myśmy się trochę tego przestraszyli. Bo to wprowadzałoby i utrudnienie takie czysto, że tak powiem, materialne, bo straszliwy tłok, ale oprócz tego jeszcze chyba ważne byłoby to, że nastąpiłby

chaos, dlatego, że trzeba... Myśmy tutaj obradowali już tygodniami, wiedzieliśmy, o co nam chodzi, wiedzieliśmy, jaka jest nasza taktyka, o co będziemy walczyli i jak będziemy walczyli. A oni po prostu przysłuchiwali się temu z daleka, mieli własne koncepcje, własne pomysły. To byłaby straszliwie chaotyczna rozmowa. Nie dalibyśmy sobie z tym rady. Więc zaczęliśmy ich ostudzać w tym zapale i prosić, żeby tego nie robili, żeby jakoś zrezygnowali z tej idei pozostania z nami. Więc oni w końcu... Poszliśmy na kompromis wspólnie. Oni wydelegowali kilka osób z regionów różnych po jednej, natomiast część z nich została tam w komisji zakładowej i oni tam pisali biuletyny, robili za nas tę robotę propagandową. Mieli łączność i pisali ulotki, rozwieszali tam różne plakaty i informowali oczywiście o postępach swoje środowiska nauczycielskie. Rozmowy szły opornie, ale potem już tak trochę ruszyły z miejsca, bo jednak myśmy się dosyć mocno trzymali. Zwłaszcza, że środowisko tutaj gdańskie, znaczy trójmiejskie, nas ogromnie poparło wtedy. Właśnie tak jak to było w tym czasie. Myśmy byli solidarni, potrafiliśmy być, więc na przykład stocznia zaraz nam ze swojej stołówki przywoziła obiady. Tam ktoś... Nauczyciele nas odwiedzali, odwiedzała nas młodzież. Całe klasy przychodziły, na przykład, żeby odwiedzić swoich nauczycieli, żeby ich tam jakoś wesprzeć. No i... Ale co nam pomogło w tym wszystkim? Otóż ZNP też postanowił prowadzić takie rozmowy i zastrajkować. Oni wprawdzie nie grozili strajkiem, ale to gdzieś tam w kontekście była taka możliwość. W Warszawie prowadzono rozmowy ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, a w Gdańsku z Solidarnością nauczycielską. I teraz była taka historia, że co ugrali tamci w Warszawie, to przyjeżdżał minister i nam, że tak powiem, ustępował. Bo już tam załatwili, podpisali porozumienie, że to już jest załatwione, więc można było i ustąpić u nas. I wtedy tak drogą drobnych kroczków myśmy zdobywali to, co trzeba. I pamiętam taką sytuację, że myśmy mieli podpisać, już ostatniego dnia mieliśmy podpisać to porozumienie i... Również kończyły się te rozmowy tam w Warszawie, warszawskie. Widocznie też doszli do porozumienia. I teraz był taki problem, że nie można było tego jednego dnia, bo to byłby taki kompromis, remis, to właściwie co to jest, prawda? Pewnie Solidarność wygrała, a oni tylko się podpięli. Trzeba było o dzień wcześniej podpisać porozumienie z ZNP. Już był wieczór późny i dosyć myśmy już byli zmęczeni, to te rozmowy się przeciągały, ale trzeba było tak technicznie to jeszcze zorganizować. Ale więc przepisać na przykład tekst na maszynie, tej ugody. Nie było maszynistki. To trzeba było ją ściągnąć. To ona przyjechała po godzinie, to już było po 10:00. Myśmy siedzieli w sali i śpiewali kolędy, a maszynistka przyjechała, ale okazało się, że maszyna jest zepsuta. Do drugiej maszyny nie mają klucza, do drugiego pokoju. W końcu zdobyli ten klucz i po północy okazało się, że wszystko jest możliwe i podpisaliśmy to w parę minut po północy, żeby była inna data. Tak że następnego dnia nastąpiło porozumienie z Solidarnością. Tak to właśnie mniej więcej wyglądało. Bardzo śmiesznie. Takie...

**Antoni Kujawski:** Tak sobie ukartowali honorowe wyjście.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak. Takie dziecinne w ogóle podchody. Przecież to żeby poważny człowiek, minister, bawił się w takie rzeczy, że zepsuła mu się maszyna i on nie ma kluczyka, żeby sobie następną, w urzędzie wojewódzkim, gdzie w każdym pokoju są maszyny do pisania. Takie właśnie śmieszne sytuacje się... A myśmy świetnie wiedzieli, o co chodzi i wiedzieliśmy, że do północy nam przyjdzie siedzieć, tutaj pięć minut po północy już się wszystko znajdzie. No. To mniej więcej tyle.

**Antoni Kujawski:** A o innych uczestnikach tej strony solidarnościowej? Kto tam brał jeszcze udział?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Oj, proszę pana, dużo osób. Niektórych już nie ma w Gdańsku, wyjechali z Polski, ale tak mnie pan z zaskoczenia pyta o nazwiska, to ja nie... Wiem, że tam...

**Antoni Kujawski:** Przepraszam.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** takimi głównymi negocjatorami to był Romek Lewtak oczywiście i Jurek Roman. Jego zastępca. Była tam jeszcze... Zapomniałam, jak ma na imię Dudkowska. Irenka? Nie.

**Antoni Kujawski:** Chyba tak, ale nie jestem pewien.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Ja też nie pamiętam jej imienia. Właśnie przykro mi, bo to... No, była jeszcze Danusia Nowakowska, przedszkolanka, która reprezentowała przedszkola, była Justyna Rogińska, był Krzysz Koszłaga i ja byłam, jeszcze parę osób, których nazwisk nie przypominam sobie w tej chwili, ale pamiętam, gdybyśmy mogli to zdjęcie zobaczyć, to pewnie bym pomogła. Było kilka osób z Polski. Był przedstawiciel Wrocławia, Krakowa, Poznania. Nie wiem, jeszcze... Tak mniej więcej z wszystkich tych ważniejszych ośrodków. Ze Śląska.

**Antoni Kujawski:** Czyli tę strategię tego strajku pani nam przedstawiła. A czy jeszcze z tych osób, które pani wymieniła, uczestników tego strajku, o kimś jeszcze dałoby się coś powiedzieć? Koszłaga tam w końcowej fazie chyba, przed końcem, że tak powiem, tego strajku, w końcowych latach 80. chyba był później przewodniczącym Solidarności.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak, tak. Więc właśnie, Krzysz się wycofał tak troszeczkę w stanie wojennym, że jak nastąpił stan wojenny, właściwie to było tak, że najpierw... Nie, to ja przepraszam, ja się zaplątałam. Muszę od początku zacząć. Otóż po wyborze, demokratycznych wyborach komisji zakładowej okazało się, że nie możemy z sobą współpracować. Pan Czesław Wyszomirski... Nie, chyba źle mówię. Pierwszy przewodniczący. Zapomniałam, jak się nazywał.

**Antoni Kujawski:** To proszę to powiedzieć, „Nie pamiętam nazwiska”, tak że...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak, zapomniałam jego nazwisko. Był człowiekiem wybranym, bardzo chciał być przewodniczącym i chciał pracować, był człowiekiem przyzwoitym, ale nie mogliśmy znaleźć z nim wspólnego języka, ponieważ większość stanu osobowego komisji rekrutowała się z założycielskiego komitetu. Tak że myśmy się znali już bardzo dobrze, wiedzieliśmy, czego od siebie możemy się spodziewać i nawet przyjaźniliśmy się. Dobrze nam się pracowało, właśnie tam wtedy w tym okresie takim burzy i naporu, natomiast pan Czesław był człowiekiem zupełnie innym. Przede wszystkim był legalistą, więc zaczynał od tego... My, rewolucjoniści, robiliśmy wszystko sami, a on zaczynał od tego, że pukał do drzwi wszystkich swoich przełożonych, a więc: „Byłem u kuratora, właśnie rozmawialiśmy na temat taki”. „A po co nam kurator? My to przecież przeprowadzimy sami”. „Nie. Musimy to zrobić przez...” I „Byłem u dyrektora” tam jakiegoś znowu i znów tam był. Nie chodził z nikim, chodził sam. Załatwiał sam. Myśmy mieli o to do niego żal, ponieważ myśmy działali zespołowo. I stwierdziliśmy, że... Właściwie to koleżanki moje stwierdziły, ja byłam jak gdyby obok tej sprawy. Nie orientowałam się w tym dobrze. Szczerze mówiąc nawet

wcale. Doszli do wniosku, że nie dadzą sobie rady z nim. Znaczą, że nie mogą współpracować, że po prostu musimy zmienić przewodniczącego. 12 grudnia, to była sobota, było zebranie, wielkie zebranie, na którym wybieraliśmy nową komisję, delegatów wszystkich, przewodniczących kół. Przyszła tam cała śmietanka nauczycielskiej Solidarności.

**Antoni Kujawski:** 1981 rok.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak. Tak. To było dzień przed stanem wojennym. I myśmy wtedy wybierali nowego przewodniczącego. On miał ogromny żal do mnie, osobiście do mnie, powiedział, że to jest wszystko moja, głośno to powiedział ludziom, że to jest wszystko moja inicjatywa, że ja to zainspirowałam. Tymczasem ja naprawdę dowiedziałam się o tym dzień wcześniej, kiedy koleżanki przyszły do mnie i powiedziały: „Słuchaj, musimy go zmienić. Po prostu musimy”. Jak musimy, to zmienimy. No, co mamy zrobić. I rzeczywiście tak się stało, z tym że nikt nie chciał, jakoś nie mogliśmy wybrać tego przewodniczącego. Nikt nie chciał zostać przewodniczącym z tych ludzi, których myśmy chcieli widzieć na tym stanowisku. W końcu udało nam się namówić Zosię Kuropatwińską, żeby zgodziła się na to i ona się zgodziła, bo jest człowiekiem ugodowym. I dobrze się stało, bo ludzie ją znali i wiedzieli potem w stanie wojennym, do kogo się zwrócić. Ten dom był znany w ogóle, adres jak gdyby taki publiczny i ludzie tam przychodzili do niej, i dzięki temu udało się łatwiej i sprawniej połączyć te wszystkie nitki które się porwały tej nocy grudniowej. Mnie oczywiście wyłapali z domu nad ranem, więc ja już byłam poza tą sprawą, ale do dziś czuję taki niesmak i przykrość, kiedy myślę o tym zebraniu. To było takie burzliwe, trochę kłótlive zebranie. Pierwszy właściwie taki konflikt, zostałam posądzona o organizowanie tego konfliktu, co było nieprawdą, więc tam bardziej dla mnie jakieś takie przykre i krzywdzące. No, człowiek odszedł z goryczą w sercu, z żalem. Miał jakieś nadzieje pewnie na karierę polityczną może, bo wtedy tak się robiło kariery polityczne, to był już niemłody człowiek, była to dla niego jakaś szansa. Myśmy szybko tak z niego zrezygnowali. Może niesłusznie, nie wiem. Nie umiem odpowiedzieć. W każdym razie... W stanie wojennym nasi panowie przestali istnieć w ogóle w naszych oczach. Oni się nie zgłosili do Zosi, żaden z nich. Tylko zgłosiły się te panie, które były w Komitecie Założycielskim, więc Krystyna Rzewuska, Danusia Witoska, Lidka Janca i Małgosia Szwejkowska, która nie była, ale też była mocno zaangażowana jakby tak psychicznie i też się zgłosiła do pomocy, do pracy. I to był taki główny człon, grupa tych osób, tych kilku kobiet, do których potem ja dołączyłam po powrocie z internowania, która od początku zaczęła organizować pracę związkową. Właśnie jakoś tak dziewczyny wiedziały, co robić. I dzięki temu nasze środowisko się nie rozpadło w czasie tego bardzo długiego stanu wojennego, tej bardzo długiej nocy.

**Antoni Kujawski:** Czy panie dostrzegały jakieś takie zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa, działalnością komisji zakładowej, która może nie była taka... Która dość dyskretnie z tego, co słyszę, działała, ale bardzo skutecznie.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Proszę pana, nie. Ja w ogóle jestem mało spostrzegawcza i mało podejrzliwa. W związku z tym mnie jest bardzo łatwo oszukać. Ale ja tego nie zauważyłam. I nie sądzę, żebyśmy my o tym wiedziały, bo gdybyśmy wiedziały, to na pewno jakoś bardziej byśmy się pilnowali wszyscy. Nie. I myśmy tego nie zauważyli. Ani nawet w stanie wojennym też. Bo na przykład mój dom, właśnie może ja dzięki temu, co opowiadałam wczoraj, że moja córka tak strasznie źle zareagowała na aresztowanie ojca, oni się bali już do nas przyjść. W każdym razie mój dom był najbezpieczniejszym mieszkaniem w Trójmieście, bo myśmy nigdy nie mieli rewizji. Chociaż moi

sąsiedzi, na przykład przychodzili, mówili: „Oddaj tę makietę, nie trzymaj jej w domu, przecież to każdy... Masz to trzy lata, jak w banku, jakby przyszedł po ciebie”. I rzeczywiście zabierali mi niektóre takie, co bardziej drażliwe materiały, bardziej niebezpieczne, ale nie było potrzeby, jak się okazało później. Raz tylko przyszedł człowiek młody i powiedział, że on tu przychodzi z tytułu tego, że trzeba coś naprawić w moim telefonie. Przedstawił się, powiedział, że jest moim uczniem, że mnie pamięta. Ja go już nie pamiętałam, ale on coś tam w tym telefonie majstrował i poszedł. Ja nigdy nie sprawdziłam, czy to był podsłuch, czy nie. Takich tajemnych rozmów, które mogłyby mnie zdekonspirować nie prowadziłam przez telefon, tak że jakoś to wytrzymałam, specjalnie mi to nie przeszkadzało. Pamiętam nasze konspiracyjne szyfry. To była najzabawniejsza historia w całej naszej działalności podziemnej, ponieważ myśmy nigdy nie byli w stanie zapamiętać tych szyfrów, które ustalaliśmy sami. Na przykład umawialiśmy się tak, że jeśli trzeba będzie i ja na przykład będę miała już gotowy kolportaż, to zadzwonię do paru osób, żeby wpadły do mnie, ale żeby zmylić SB, to właśnie ustalimy dzień przedtem albo dzień potem i godzinę wcześniej albo później, ale jakoś nie ustaliliśmy na 100%, czy to ma być przed, czy po określonej dacie. Tak że... Ja mówię: „Słuchaj, przyjdź do mnie w czwartek o 7:00”. To już nie wiem, w środę czy w piątek mam przyjść? Tak że zawsze takie właśnie były nasze konspiracje. Ja pamiętam, kiedyś wydaliśmy w „Kontaktach” taką cegiełkę, która bardzo ładnie się rozeszła i zdobyłam sporo pieniędzy. Więcej niż było mi potrzeba. Ja potrzebowałam sześć tysięcy na zapłacenie drukarzom, a miałam ponad 20. I tak sobie pomyślałam, że święta się zbliżają, trzeba to komuś rozdać i jakie środowisko najbardziej było wtedy inwigilowane i najbardziej tropione, i najwięcej zwolnień z pracy? Środowisko dziennikarzy. Ja akurat to wiedziałam dzięki temu, że moja przyjaciółka najbliższa była dziennikarką i właśnie ona redagowała „Nasz Czas”. Więc powiedziałam: „Iza, słuchaj, ja mam pieniądze i ty się musisz do mnie zgłosić, ja ci te pieniądze przekażę na potrzeby właśnie twoich kolegów”. Ale ona nie przyszła w tym dniu i na drugi dzień też nie przyszła, więc ja się denerwowałam, bo to już było 22 grudnia, ja sobie myślę: „Boże, oni nie zdążą przed świętami tego prezentu zrobić”, więc dzwonię do niej, a umawiałam się, że powiem jej, że mam karpie. Przed Wigilią, karpie, dobry temat. Mówię: „Słuchaj, mam karpie. Przyjdź po te karpie”. Ona mówi: „Nie, nie mogę. Wiesz, coś mnie tam noga boli”, czy coś. Ja mówię: „Słuchaj...” , a tak żeby ją zachęcić, mówię: „A ty wiesz, ile ja ich mam?”, a ona mówi: „No, ile?”, „22 tysiące”. Więc tego to już żaden esbek by nie przełknął. Tak że takie były zabawy w tym czasie.

**Antoni Kujawski:** Jak pani odebrała nowy jakby rozdział Solidarności po 1989 roku i jej działalność? Czy pani uczestniczyła w niej? Później nastąpiła, pojawił się temat reformy oświaty, może także zechciałaby pani na te tematy...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Wie pan, ja właściwie wiedziałam, że jak... No, już tak się orientowałam w tym, po klimacie, który powoli zaczął narastać, że to już nie będzie ta sama Solidarność. O to miałam największy żal do Jaruzelskiego, że on stłumił taki, w ogóle zniszczył, zmarnował takie wspaniałe dobro, jakim był entuzjazm społeczny. Przecież to się rzadko objawia w takiej formie, w takim nagromadzeniu, jak myśmy wtedy przeżywali tę falę entuzjazmu i to stłumić, to była największa zbrodnia, jaką można było na narodzie wykonać, bo właśnie sześć czy osiem lat w sumie, to było tego czekania na wolność. To był bardzo długi i bardzo trudny okres. Trudny ze względów ekonomicznych również, nie tylko psychicznych i tego, że nas tam tropili i że musieliśmy działać w podziemiu, ale to nie było najgorsze. Najgorsze było to, że w ogóle było ciężko żyć w tym czasie. I ludzie byli po prostu zmęczeni życiem. Ja wiem, co na mnie zrobiło największe wrażenie, kiedy wyjechałam pierwszy raz na Zachód. Sklepy. Nie dzieła sztuki w Rzymie, ale sklepy. To, że można nie być białą niewolnicą, będąc kobietą, że można mieć półprodukty,

gotowe prawie do zrobienia w domu, że można mieć tak ułatwione życie. Dzisiaj ja to mam. Ja to pamiętam doskonale i dlatego jestem bardzo wdzięczna losowi, że dzisiaj właśnie doczekałam takich czasów, kiedy przestałam być białą niewolnicą, kiedy mogę sobie pójść do sklepu, wybrać na przykład umytą marchew. To przecież było nie do pomyślenia. Człowiek przynosił takie jakieś jarzyny prosto z ziemi, zaczynał właśnie od obróbki. Teraz ja już się tym nie muszę parzyć. I zdawałam sobie sprawę, że to se ne vrati, ale nie myślałam, że aż tak źle pójdzie. Pamiętam, że zaraz jak tylko Okrągły Stół zaczął obradować, przyszedł do mnie Broniek Sarzyński i powiedział: „Słuchaj, my tutaj piszemy taką odezwę do nauczycieli, bo trzeba by jakoś reaktywować Solidarność, żeby ona już... Przecież działaliśmy przez cały czas, więc żeby teraz to ulegalnić”. I oczywiście gdzie, u księdza Bogdanowicza w kaplicy królewskiej, bo on się nami opiekował przez cały czas jako duszpasterz nauczycieli i tę tajną działalność naszą w jakiś sposób firmował, bo myśmy się u niego spotykali. Znaczący u niego, w salce katechetycznej, ale na jego terenie.